

Ja też nigdy nie byłem mocny w sprawach finansowych, bitew o kasę od dziecka się brzydziłem, a po bliższym zapoznaniu się z tymi problemami w PZPN, wręcz od nich stroniłem. Ale gdy się weszło między wrony... Krakałem jak inni. Najpierw wraz z Gieniem Kolatorem, oczywiście bez powodzenia, negocjowałem w TVP (po tej stronie był dziś też dobrze znany Piotr Gawel) warunki współpracy PZPN – TELEWIZJA, a potem istne tortury przeżywałem, gdy nasz Związek ogłosił kolejny przetarg w sprawach sprzedaży praw telewizyjnych i reklamowych. Zgłosiło się czterech kandydatów: Włodzimierz Lubański Sportmanagerem BVBA, Profus Menagement, Saatchi and Saatchi i Telewizja Polska.

Zanim do tego doszło, w Poznaniu odbył się mecz Polska – Anglia z cyklu eliminacji mistrzostw Europy. Wynik od strony sportowej był kiepski, podobnie jak rywalizacja w grupie z Anglią, Irlandią i Turcją, ale w PZPN na jeszcze większe niepowodzenie zapowiadało się w pertraktacjach z TVP. Partner starym zwyczajem żądał finansowego ekwiwalentu za przeprowadzenie transmisji z tego spotkania.

– Telewizja jest monopolistą i w związku z tym dyktuje bandyckie warunki – grzmiał sekretarz generalny PZPN, Marek Pietruszka.

– Twierdzenie, że telewizja zabiera PZPN-owi pieniądze jest zwykłą demagogią – odgryzał się ówczesny szef redakcji sportowej TVP, Marek Madej.

– A jaka była prawda? Telewizja znowu postawiła PZPN pod ścianą:

– Będzie sygnał i będzie transmisja, ale... najpierw trzeba za to zapłacić 52 tysiące dolarów!

Do skandalu nie doszło. PZPN jakimś cudem wspólnie z firmą „Saatchi and Saatchi”, bulił jak za zboże. Dopiero wtedy Madej spuścił z tonu:

– Myślę, że wszystko jakoś się ułoży, bo teraz nie będziemy rozmawiać z panem Pietruszką, który dość skutecznie nas unikał, ale z prezydium związku.

Tam są bardziej wiarygodni partnerzy! Zresztą, do takich transakcji potrzebny jest pośrednik!

Nadzieja na okrzyk „kochajmy się!” była jednak przedwczesna. Jak po grudzie szło też w sprawie przetargu. Z naszej strony w komisji negocjującej z kontrahentami prym wiedli teraz Marian Dziurawicz, Marek Pietruszka i dr Andrzej Wach. Dyskutowało całe prezydium. Przy mecenasie Wachu moja wiedza na ten temat sięgała co najwyżej przedszkola. Nie tyle więc w oparciu o znajomość „tematu”, ile z sentymentu do Włodka Lubańskiego w decydującej rozgrywce postawiłem na BVBA. Ale miałem też na uwadze racje mecenasas: – „Dobrze pojęty interes PZPN wymaga wprowadzenia sankcji finansowej wobec agencji, gdyby ta jednostronnie zerwała umowę lub gdyby związek był zmuszony wypowiedzieć umowę z przyczyn leżących po stronie agencji”. Wszak istnieje ryzyko w przeprowadzeniu transmisji telewizyjnych.

Największe w tym względzie zaufanie miałem właśnie do Włodka. Zdecydowana większość członków prezydium zarządu PZPN też wypowiedziała się za ofertą Lubańskiego. Zadowolone były obie strony. Przedwcześnie. Tu też więcej było dobrych chęci i wzajemnych sympatii, niż podstaw do realizacji przedsięwzięcia. Stawiano zamki na lodzie. Mniej zorientowani już byli przygotowani na parafowanie kontraktu, bo dokonane w nim poprawki zadowalały obie strony. Na przykład określenie „co najmniej” zastąpiono przysłówkiem „około” a zwrot „winna zapewnić” mniej dosadnym stwierdzeniem „winna dołożyć starań”. No to poszły konie po betonie?! Nie, trzeba było jeszcze rozstrzygnąć według jakiego prawa będą realizowane postanowienia. PZPN był za polskim lub międzynarodowym, a Włodek za holenderskim. Pokonano i tę barierę, ale umowy nie parafowano. Ostatnia przeszkoda – finansowe gwarancje bankowe – były nie do sforsowania. Lubański zrezygnował...

Po Olimpiadzie starano się przywrócić należną pozycję pierwszej reprezentacji. Podstawę zespołu nadal tworzyli zawodnicy występujący w ligach zagranicznych, selekcjoner mógł też korzystać z usług srebrnych medalistów z Barcelony oraz pozostałych piłkarzy wyróżniających się w naszej lidze. Strategia w założeniu słuszna, jednak wątpliwości niektórych członków Wydziału Szkolenia budziło nadmierne faworyzowanie graczy występujących w klubach zachodnich. Domagano się większego udziału w kadrze narodowej – w pełni podzielałem ten pogląd – krajowych ligowców. Trener Strelau był za utrzymaniem dotychczasowych proporcji, zapewniał, że są właściwe. Bronił przegranej sprawy. Na forum zarządu i prezydium PZPN tak żarliwych i wnikliwych dyskusji nie było. Ubolewano tylko, że nasza reprezentacja plasuje się dopiero na 20 miejscu w Europie. Kto winien? Cięgi zbierał tylko pion szkolenia. Wszyscy inni umywali ręce.

Mnie osobiście zmartwiła słaba postawa najstarszych juniorów na turnieju finałowym o mistrzostwo Europy. Przecież trener Wiktor Stasiuk miał w Norymberdze równie utalentowanych zawodników jak Janusz Wójcik w Barcelonie. Motywacja też winna być duża, bo w Niemczech szło nie tylko o medalową pozycję na naszym kontynencie, lecz także o wyprawę w roku 1993 do Australii na mistrzostwa świata reprezentacji Under – 20. Byłem kierownikiem tej ekipy niespełnionych nadziei. Zgubiła nas zbyt duża pewność siebie czy złe przygotowanie? Co za różnica – stracone złudzenia! Chłopcy mentalnie nie dorosli do zadań na tak wysokim szczeblu. W eliminacjach same zwycięstwa, awans do puli finałowej w stylu mistrzów, a w Niemczech gra typowa dla debutantów. Do Australii poleciecieli więc Anglicy i Niemcy, ale lepsi od nas byli tylko młodzi Wyspiarze. Gospodarzom nie tylko ściany pomagały...

Władzom światowego i europejskiego piłkarstwa przypisuje się konserwatyizm, niekiedy wręcz awersję do nowelizacji przepisów gry. Opinie te nie zawsze

wiernie oddają postępowanie dżentelmenów z FIFA i UEFA. Od czasu do czasu oni też, w poszukiwaniu lepszych rozwiązań, decydują się na eksperymenty. Właśnie w Norymberdze podczas mistrzostw Europy Under – 19 tytułem próby wprowadzono zakaz tradycyjnego podawania piłki przez graczy z pola do własnego bramkarza. Dotychczas mógł takie podanie przejąć (złapać) w ręce. Teraz musi odbić piłkę nogą! Każdy chwyt przez bramkarza futbolówki w ręce po celowym podaniu (nogą) partnera z drużyny, karano rzutem wolnym pośrednim. Trener Wiktor Stasiuk i jego asystent Edward Klejdinst przed meczem z Anglią przeciwiczyli z drużyną to zalecenie dość skrupulatnie, ale w meczu z Anglią nie wyszło to najlepiej. Górę brały stare przyzwyczajenia. Wyspiarze odpowiednio tę naszą słabość wykorzystali. Eksperyment jednak się udał i obowiązuje w tej formie do dziś.

Jesienią 1992 roku podjęto budowę nowego zespołu Under – 21. Mimo niewypału w Norymberdze, zadanie to powierzono Stasiukowi. Nowa „młodzieżówka”, w perspektywie kadra olimpijska, wystartowała znakomicie. W pierwszym meczu w Rawiczu po dobrej grze pokonała Turcję 3:0, a w Utrechcie Holandię 3:1. Rewelacją tego udanego meczu był przede wszystkim stoper Arkadiusz Kaliszan. Wiązałem z nim duże nadzieje. Prezes Górski też był zadowolony. Rośnie następca Jerzego Gorgonia, Władysława Żmudy czy Pawła Janasa? Kaliszan zawodu nie sprawił, ale na miarę swoich faktycznych możliwości grywał stanowczo za rzadko. Uchodził w naszej lidze za „rębajłę”. Tak nim pokierowali trenerzy czy sam wybrał tak prymitywną drogę rozwoju?

Piłkarską wiosnę 1993 nasza młodzież również rozpoczęła obiecująco. W dwóch meczach z San Marino strzeliła 12 bramek... i nagle straciła impet. Nie nowość to w naszym futbolu. Tym chłopcom też przewracało się w głowach? Balowali czy znowu dopadł ich „kompleks Anglików”? Pierw-

szy mecz w Jaworznie przerznęli aż 1:4, ale rewanżowy w Anglii wygrali 2:1. Cały czas grali w kratkę: w Stavanger nie dali rady Norwegom (1:3), ale w Pile dość mocno wygarbowali im skórę. Potem znowu huśtawka: z Turcją na wyjeździe przegrana 0:1, a w Pniewach piękne zwycięstwo nad Holandią 2:0. Uff! Jednak jest awans do ćwierćfinałów mistrzostw Europy. Ale to był już szczyt możliwości. Przyszło pożegnanie z Europą i resztą świata. Dalej poszła Portugalia i jej „cudowne dzieci znad Tagu”, pokolenie utalentowane o mentalności mistrzów świata. Dwukrotnie z nimi przegraliśmy, w Szczecinie 1:3 i w Coimbrze 0:2.

Na posiedzeniach zarządu i prezydium PZPN dość mocno musiałem się tłumaczyć, dlaczego to młodzi Portugalczycy, a nie Polacy są wybrańcami niebios. Oliwy do ognia z reguły dolewał przewodniczący Komisji Rewizyjnej, Jacek Betlejewski. Ubolewał: – *Ile to pieniędzy poszło na marne?* Argument „rywale byli lepsi” absolutnie nikogo nie przekonywał. Motywy irracjonalne były w tym gremium po stokroć większe, niż znajomość realiów i sportowe kompetencje. Ale i tu do dintojry nie doszło, bo – na szczęście – mniej więcej w tym samym czasie nasi najmłodszy juniorzy (Under – 16) wywalczyli w Turcji mistrzostwo Europy. Zostawili w pobitym polu najpierw Szwajcarię, Irlandię i Islandię, a potem Belgię, Francję i Włochy. Asami atutowymi tego zespołu byli: Mariusz Kukiełka, Jacek Magiera, Mirosław Szymkowiak i Maciej Terlecki. Kolejne przekleństwo – znowu w niepełnym wymiarze wykorzystali swoje talenty. Mocno powikłane stały się zwłaszcza losy Maćka Terleckiego. Był diamentem, mógł być brylantem, pozostał w cieniu ojca Stanisława. Nie był gwiazdą nawet w II lidze. Czy tylko trenerzy tu zawinili? Jak sam sobie pościelisz, tak się wyśpisz...

W Japonii, gdzie do tej złotej ekipy dołączył Artur Wichniarek, chłopcy Andrzeja Zamilskiego, trenera w PZPN zbyt nie rozpieszczanego, znowu



byli bliscy zdobycia medalu. W półfinale przegrali jednak z Nigerią 1:2, notabene zwycięzcą turnieju, a w meczu o trzecie miejsce z Chile wyraźnie nie sprzyjał im los. W egzekwowaniu rzutów karnych szczęście uśmiechnęło się do rywali z Ameryki Południowej. Z drużyn europejskich i tak „biało-czerwoni” byli najlepsi, przed Polską tylko Nigeria, Ghana i Chile. Czarny Ląd pokazuje pazurki. Postawa naszej młodzieży w Turcji i Japonii potwierdziła lepszą pracę z juniorami w klubach i okręgach, a w PZPN postęp w selekcji i szlifowaniu talentów. Zasługi Zamilskiego są tu niewątpliwe. Otwarte pozostawało jednak pytanie: – Co dalej? Czy znowu – jak dotychczas – na „podstawówce” zakończy się edukacja piłkarsko uzdolnionej młodzieży? Nadal będą ginąć talenty?..

Podczas panelu na ten temat zorganizowanego przez Sejmową Komisję Kultury Fizycznej i Turystyki po raz kolejny publicznie starałem się podkreślić rolę racjonalnego szkolenia. W Polsce w miarę dobrych trenerów mamy tylko właśnie na szczeblu podstawowym. Ale im wyżej, tym gorzej. Nadal mało jest u nas szkoleniowców – nauczycieli już nieco wyższej rangi, takich „panów profesorów” szkoły średniej na potrzeby ligi. A już zupełnie brakuje, nazwijmy to umownie, autentycznych doktorantów o wiedzy wykładowców wyższych uczelni. A tacy właśnie trenerzy, nie tylko prezenterzy ze szkółek dla piłkarskich przedszkolaków, potrzebni są naszej drużynie narodowej. Mistrzowie selekcji, twórcy racjonalnej strategii i skutecznej myśli taktycznej! Reprezentacja takich szkoleniowców miała dotychczas niewielu.

Gmochowi lepiej powiodło się w pracy klubowej, Strejlau z reguły najczęściej dobrze zaczynał, ale źle kończył. W eliminacjach World Cup '94 na przykład nie wykorzystał dobrego startu z jesieni 1992 roku. Wiosną 1993 już oba mecze ze słabiutkim San Marino nie wróżyły nic dobrego. Oglądałem te spotkania w towarzystwie prawdziwego mistrza w tym fachu, Kazi-

mierza Górskiego. W Łodzi wstyd było spojrzeć sąsiadom w oczy, taka była mizeria. A gdy jedyną (zwycięską!) bramkę ręką strzelił Jan Furtok, prezes zakrył twarz rękami i westchnął głęboko: – „*Gdzie są chłopcy z tamtych lat...*” Żaden z napastników (Roman Kosecki, Andrzej Juskowiak, Jan Furtok) i mocno ich wspierający Jacek Ziober nie potrafił celnie strzelić. Ni nogą, ni głową! Pyrrusowe zwycięstwo dały nam dopiero spryt i bezczelność Furto-ka; ręką wepchnął piłkę do bramki. Czy rzeczywiście sędzia tego oszustwa nie zauważył?

Kilka tygodni później odbył się mecz rewanżowy w San Marino. Trener Strejlau dość gruntownie zmienił „łódzki” skład. Powrócili do drużyny bramkarz Adam Matysek, „ułaskawiony” pomocnik Andrzej Rudy (w czasach komuny „nielegalnie” wyjechał z Polski za lepszym chlebem), a także bramkostrzelny Krzysztof Warzycha, szybki Marek Leśniak i walczący Piotr Świerczewski. Armia zaciężna, zachodni zawodowcy. Przed przerwą grali jednak równie słabo, jak amatorzy z San Marino – na 0:0. Znowu istne męki Tantala. W czasie przerwy prezes Górski koktajlem campari z koniakiem i sokiem pomarańczowym starał się ukoić zgryzotę i... zde gustowany czekał na cud. Nawet nie miał ochoty na cygaro. Wygraliśmy jednak 3:0. Dwie bramki zdobył Leśniak i jedną Warzycha. I to było nasze ostatnie zwycięstwo w tych eliminacjach.

Mistrzostwa świata w USA bez „biało-czerwonych”. Polonia amerykańska była zawiedziona, a w kraju domagano się zmiany selekcjonera. Nie byłem już wtedy wiceprezesem PZPN, nie miałem więc w tej sprawie nic do powiedzenia. O wszystkim decydowało prezydium Związku, a zarząd bez dyskusji musiał przyjąć to do... wiadomości. Postawiono na Henryka Apostela. Ogólne zaskoczenie. Ja też wcześniej o tej nominacji nic nie wiedziałem. A jednak koledzy dziennikarze właśnie mnie pytali, co o tym sędzę.

– Kandydatura dobra, Henio był nieźle wyszkolonym piłkarzem, raz nawet – tak jak kiedyś Górski – zagrał w reprezentacji. Miał dobre wyniki w pracy z młodzieżą, zna robotę. Sądzę jednak, że tę funkcję powierzono mu stanowczo za późno. Trudno będzie mu pozbierać to nasze „międzynarodowe” towarzystwo. Ma chyba za miękki charakter...

Apostel zaczął jednak dobrze, od dwóch remisów w towarzyskich meczach z Hiszpanią na Wyspach Kanaryjskich i z Grecją w Salonikach oraz skromnych wygranych z Arabią Saudyjską w Cannes i Węgrami w Krakowie. Z Austrią i Białorusią było już gorzej, a zupełnie źle z Izraelem w Tel Awiwie w meczu inauguracyjnym eliminacje kolejnych mistrzostw Europy. Grupa do strawienia: Azerbejdżan, Francja, Izrael, Polska, Rumunia i Słowacja. Kością w gardle stała nam jednak większość rywali, bolały zwłaszcza przegrane z Izraelem i Słowacją oraz kompromitujący remis z Azerbejdżanem. Przeważający mecz ze Słowacją (1:4 podczas gdy w Polsce było 5:0!) miał wymiar szczególny. Rozlatywała się drużyna. Pogłębiał się jej niedowład moralny, coraz bardziej odczuwalny stawał się brak ambicji i sportowych motywacji. Potęgowały się natomiast skłonności do ziemskich rozkoszy i brak szacunku dla barw narodowych. Koszulka z Białym Orłem parzyła niektórych reprezentantów. Nawet pryncypialnego Romana Koseckiego! Zbulwersował opinię publiczną. Koniec drużyny, koniec selekcjonera!

Po bezbramkowym remisie z Azerami już nowy prezes PZPN, Marian Dziurówicz pilnie poszukiwał kolejnego selekcjonera. Postawił na Władysława Stachurskiego, ale rychło zmienił zdanie. Przegrane w Hongkongu z Japonią 0:5 i w Rijece z Chorwacją 1:2 oraz w kraju dwa remisy ze Słowacją i Białorusią przekonały go, że trafił kulą w płot. Stachurski podzielił los poprzedników. Patrząc na to wszystko już nieco z boku, nie miałem wątpliwości, że nominacja Stachurskiego miała „krótkie nogi” i była rozwiązaniem typowo zastępczym.



Od początku po piętach deptał mu Antoni Piechniczek, teoretycznie jako doradca prezesa, de facto szkoleniowy „nadzorca” selekcyjona. Antek po raz drugi przejął reprezentację. Stał więc w poprzek przestrodze Heraklita z Efezu, że „nie należy po raz drugi wchodzić do tej samej rzeki”. *Panta rei* – wszystko płynie! I stało się, po przegranej w Chorzowie z Anglią 0:2, Piechniczek podał się do dymisji. Kto następny? Z rekomendacji Warszawskiego OZPN nowym selekcyjnerem został Janusz Wójcik. Miał być zbawcą, ale zły los i jemu przypisał rolę grabarza.

Kłapa w eliminacjach mistrzostw Europy i świata, to nie jedyne niepowodzenie Wójcika. Wcześniej w pracy w klubie też mu się nie powiodło. Otwarcie w Legii miał radosne, ale zamknięcie smutne. Obiecywał nowym właścicielom klubu mistrzostwo Polski, podbój Europy i... dużą kasę. Legię rzeczywiście już w roku 1993 stać było na wygranie krajowej rywalizacji. Najwięksi dotychczas jej rywale Górnik Zabrze i Widzew Łódź już tak bezapelacyjnie w ekstraklasie nie rządili i nie dzielili ligowych fruktów z takim powodzeniem, jak w latach osiemdziesiątych. Wtedy mocniej „trzymał władzę” i tak rozdawali karty, by mistrzostwo utrzymać w CRZZ-towskiej rodzinie.

## KARA BEZ ZBRODNI

Podczas meczu Widzew – Górnik w 1985 roku byłem „świadkiem koronnym” wyjątkowo interesującego przekrętu. Widzew już nie miał szans na mistrzostwo Polski, natomiast Górnik jak najbardziej. Jeśli wygra w Łodzi, Legia – gdyby nawet zgarnęła w Szczecinie całą pulę, może się tylko oblizać smakiem: tytuł znowu powędruje do Zabrza. Ówczesny Widzew był jednak na tyle mocny, że mógł pokrzyżować plany górników. Robił to sprytnie, do przerwy prowadził 1:0. W tym czasie Legia wygrywała z Pogonią również 1:0. Mistrzo-

stwo dla wojskowych? Nic z tych rzeczy! W Łodzi i Szczecinie „grano” również przy pomocy gorącej linii telefonicznej. Pełna kontrola wydarzeń. O niespodziance nie mogło być mowy. Górnik oczywiście wygrał w Łodzi i został mistrzem. W tej sytuacji „czujna” Legia „tylko” zremisowała z Pogonią i znowu uratowała ligę dla Szczecina. Pogłębiono przyjaźń wojskowych z portowcami. A w Łodzi prezes Widzewa Ludwik Sobolewski wyczałował prezesa Górnika, Mariana Polusa.

– Gratuluję! Które to już mistrzostwo? Jedenaste?... Jest tak, jak być powinno: Legia znowu na aucie – nie krył zadowolenia szef „wiedzewskiej manufaktury”.

– Dziękuję... Dobrze to rozegrałeś Ludwiku! Spełniłeś moje marzenia. – rozluźnił się pryncypał Górnika. – Znowu utarliśmy tym wojskowym nosa... Niech żyje nam, górniczy stan!...

Takie pozaboiskowe rozgrywki odbywały się w naszej lidze dość często, ale nawet osławione pezetpeenowskie „brygady tygrysa” nie były w stanie złapać kogoś za rękę i udowodnić czarne na białym, że wynik jakiegoś meczu jest ukartowany, a przekręt oczywisty. Teraz też nikt nie protestował. Dopiero w sezonie 1992/1993 pojawili się odważni moralisci o darze „wizjonerskim”; dopatrzyli się nieczystej gry w meczach ŁKS Łódź – Olimpia Poznań i Wisła Kraków – Legia Warszawa. Starły się olbrzymy z karzełkami. Cele ŁKS i Legii sięgały tytułu mistrza Polski, natomiast dla ich rywali nie miały żadnego znaczenia. Olimpia już pożegnała się z I ligą, a Wisła zajmowała bezpieczne miejsce w tabeli. Kto wygra?

Wątpliwości nie było – wygrają faworyci z Warszawy i Łodzi. I tak się stało: Legia strzeliła Wiśle sześć goli i żadnego nie straciła, a ŁKS równie gładko pokonał Olimpię 7:1. Te dość rzadko spotykane wyniki wzbudziły najpierw podejrzenia Urzędu Kultury Fizycznej i Turystyki, a zaraz potem Prezydium Zarządu PZPN. Mnie to nie zdziwiło, wszak Legia już kiedyś pokonała Wisłę

12:0, a ŁKS z silnym Zagłębiem Sosnowiec wygrał 7:0. Byłem zresztą świadkiem koronnym jeszcze wielu podobnych wyników. Patrzono na nie przez palce, rzadko protestowano. Gdy o tym pisałem, zbywano uwagi milczeniem. Teraz ja nie miałem powodów do zmartwień. Jako prezes WOZPN cieszyłem się podwójnie: z mistrzostwa Polski Legii i od 41 lat oczekiwanego powrotu Polonii do pierwszej ligi. Rychło okazało się, że tylko radość z sukcesu „Czarnych koszul” była uzasadniona. Na Łazienkowskiej smutek, bo odebrano liderowi mistrzostwo. Wystawiono pierwszy słony rachunek za przywileje z czasów PRL-u.

Pokrzywdzone kluby, bo ŁKS, Wisłę i Olimpię też ukarano, usiłowały bronić swoich racji. Spory, kłótnie, wyjaśnienia, przedstawianie argumentów i opinii prawników trwało kilka tygodni. Prezydium PZPN w okrojonym składzie „wałkowało” tę sprawę już 21 czerwca. Przedstawiciele Śląskiego OZPN, wiedząc co się święci, zastosowali wtedy klasyczny unik: nawet za zwyczaj obowiązkowy wiceprezes Marian Dziurawicz nie przyjechał do Warszawy. Zamiast 11 członków prezydium Związku tylko 8 podjęło próbę rozwiązania tej krakowsko-lódzkiej zagadki. Wniosków było kilka, często wzajemnie się wykluczających, niedorzecznych. Najbardziej racjonalna wydawała się zebrany nasza propozycja tj. Wydziału Szkolenia. Niech Legia i ŁKS rozegrają dodatkowy mecz na neutralnym boisku. Kto wygra, będzie mistrzem Polski anno 1993!

Było to nieco na bakier z regulaminem rozgrywek, mimo to doszło do głosowania właśnie nad takim rozwiązaniem. Był przecież bliski duchowi sportu, wykluczał grę przy „zielonym stoliku”. Upoważniony przez prezydium „z marszu” zreferowałem „stan obrad” kolegom dziennikarzom i grupce ciekawskich „ludzi z zewnątrz”. Czyhali za drzwiami. Służb ochroniarskich wówczas jeszcze nie było, więc sforsowali wejście do siedziby PZPN i przez dziurkę od klu-

cza podsłuchiwali burzliwą wymianę zdań w sali konferencyjnej. Moja misja pojednawcza nie ostudziła gorącej atmosfery. Na korytarzu wciąż wrzało, a prezydium PZPN nadal obradowało w napięciu. Wreszcie Kazimierz Górski zarządził głosowanie. Klasyczny remis 4:4. Pat? Nie! Wniosek upadł! O odrzuceniu propozycji Wydziału Szkolenia zadecydowało weto prezesa. Ustalono, że wiążącą decyzję w tej sprawie podejmie Zarząd PZPN na swoim posiedzeniu w dniu 9 lipca 1993 roku.

Informacja ta lotem błyskawicy rozeszła się po Warszawie. Do akcji wkroczyli kibice Legii. W dzień i w nocy dzwonili do członków prezydium z pouczeniem jak się należy zachować na zebraniu Zarządu. Akurat mnie nie trzeba było ani pouczać, ani straszyć, bo od początku byłem za sportowym rozwiązaniem tej sprawy. W piłce nożnej takie zaskakujące wyniki zdarzają się nawet w meczach międzypaństwowych. Z dobrej i złej strony na własnej skórze doświadczyła tego również nasza reprezentacja. Zarządzono tajne głosowanie, to dobre dla działaczy z terenu, na kartkach powiedzą to, co myślą o tych „wielkich ligowcach”. Co tam racjonalne argumenty? Najważniejsze by dokopać tym znieawidzonym pieszczochom totalitarnej władzy. Ostatecznie ten sąd – o kapturowej proveniencji postanowił:

- Unieważnić wyniki spotkań Wisła – Legia i ŁKS – Olimpia.
- Tytuł mistrza Polski przyznać Lechowi Poznań.
- Cztery kluby (Legia, ŁKS, Olimpia, Wisła) ukarać trzema minusowymi punktami (-3) w nowym sezonie 1993/94.
- Nałożyć na każdy klub grzywny pieniężne w wysokości ówczesnych 50 milionów złotych.

Z tymi decyzjami zarządu nie mogłem się zgodzić. Jak można karać kluby bez udowodnienia im winy? Protestowałem nie tylko z pozycji prezesa Warszawskiego OZPN. Obłuda współczesnych inkwizytorów, którzy w przeszło-

ści nie dostrzegali po stokroć większych przekrętów, dotknęła mnie osobiście. Nigdy nie byłem z prawdą na bakier, a teraz zarzucono mi lawirantwo. Zrezygnowałem więc z funkcji wiceprezesa PZPN. To nie dla mnie towarzystwo! Nie wiem dokładnie, jakimi motywami kierowali się wiceprezes Piotr Bierwaggen i członek prezydium PZPN, Jerzy Koziński, ale faktem jest, że oni również ustąpili z zajmowanych stanowisk. Być może tak, jak ja, już dość mieli dwulicowości tych, którzy tak nagle przystroili się w anielskie szaty, choć wcześniej bardziej im było do twarzy z rogami na głowach i widłami w rękach. Ostatecznie o tych kontrowersyjnych wydarzeniach w lidze zdecydowało Walne Zgromadzenie PZPN.

Złe nastroje wśród kibiców i organizowane przez nich nocne „spektakle telefoniczne” nie ustały. Z dnia 9 na 10 lipca dzwoniono do działaczy praktycznie przez całą noc. W trybie nagłym odwołanie od decyzji zarządu do Walnego Zgromadzenia złożył w imieniu ASPN Legia dyrektor Artur Mazurek. Od strony prawnej odpowiednie dokumenty przygotował mecenas Ryszard Parulski. Wygłosił płomienne przemówienie przepojone wątkami o głębokiej treści humanistycznej. Źle trafił, to nie ta widownia, ma gdzieś takie argumenty. Wyczuwało się jawną niechęć wobec ukaranych, przeważała zwłaszcza chęć upokorzenia Legii.

Wystąpienie Parulskiego doprowadziło znaczną część delegatów do „białej gorączki”. Niektórzy, ci najbardziej ziejący nienawiścią do Legii, zaczęli mecenasa obrażać. Rzeczowych argumentów nie mieli, więc pokrzykiwali jak stare przekupki. Pełnomocnik Legii starał się utrzymać nerwy na wodzy, ale ciosy, jakie zadawano, nie pozwalały na utrzymanie bon tonu. Był przekonany, że delegaci już wydali wyrok, chcą po prostu upokorzyć Legię. Jeden z „najaktywniejszych dyskutantów”, jak to trafnie określił mecenas, „taki z pogranicza upośledzenia umysłowego”, ryczał na całą salę:



– Jeśli Parulski nadal będzie bronił Legii, to on postawi wniosek, by mu odebrano kierowanie Fundacją Gloria Victis.

Odpowiedź była w podobnym stylu:

– Więcej kultury mają w sobie handlarze z praskiego bazaru Różyckiego... Delegatom PZPN przydałoby się kilka lekcji traktujących o zasadach dobrego wychowania. Działanie wbrew prawu i kierowanie się głosem pospólstwa wystawia polskiemu piłkarstwu złą opinię. Prestiż PZPN upada... Poważny kraj i poważny związek piłkarski nigdy nie pozwoliłby na taką szopkę. Zgroza!

Z woli grupki ludzi rozsądnych powołano jednak nadzwyczajną komisję, która jeszcze raz rozpatrzyła okoliczności 0:6 w Krakowie i 7:1 w Łodzi. Był w niej, między innymi – nasz najlepszy międzynarodowy sędzia piłkarski Alojzy Jarguz, a przewodniczył Maciej Kapelczak. W imieniu tego ciała oświadczył, że... **„Nie dopatrzono się winy Legii, ŁKS, Olimpii i Wisły. Ukarano te kluby bezpodstawnie, bez udowodnienia winy”**. Wrzask na sali zagłuszył końcowe słowa oświadczenia. Jednak dobrze je usłyszał wiceprezes PZPN, Ryszard Kulesza, który bardziej niż siebie po „aferze na Okęciu”, bronił teraz decyzji zarządu PZPN.

– To oburzające! – grzmiał z trybuny zjazdowej. – Cała Polska widziała przestępstwo, a panowie z komisji nadzwyczajnej – nie?!

„Pan Rysio” miał potem z tego powodu sporo kłopotów w domu, na ulicy, w pracy. Cudem uniknął samosądu. Lata mijają, ale wciąż męczy go czkawka. Boi się na żywo oglądać mecze Legii na Łazienkowskiej. Jednak zdania nie zmienił, trwa w swoim przekonaniu do dziś. Wściekły trener Janusz Wójcik dość długo podkpiwał z tego uniesienia „Kulki”:

– Jak mogła to widzieć cała Polska, skoro nie było transmisji telewizyjnej?! A pan Kulesza ułożył się w tym czasie w wygodnym fotelu, poprawił bambosze i głośno chrapał...

Doniosły głos Ryszarda Kuleszy w Centrum Konferencyjnym Wojska Polskiego przy ulicy Żwirki i Wigury w Warszawie zrobił duże wrażenie przede wszystkim na delegatach z małych klubów i niewiele znaczących okręgów. Wreszcie i oni mogli się pokazać i o czymś publicznie decydować. Zarządzono głosowanie nad oświadczeniem „Komisji Kapelczaka”. Wynik szokujący! Tylko dwudziestu delegatów, głównie z klubów ligowych, wypowiedziało się przeciwko ukaraniu Legii, ŁKS-u, Olimpii i Wisły. Pozostali byli za utrzymaniem proponowanych kar bądź wstrzymali się od głosu, a wśród nich prezes PZPN Kazimierz Górski. Część delegatów na czas głosowania opuściła salę.

Pogwałcono elementarną zasadę europejskiej kultury prawnej: *„Lepiej, aby ktoś uszedł sprawiedliwości, niż gdyby miał być ukarany bez udowodnienia winy”*. Złamano też powszechnie obowiązującą zasadę: – *„Nie dających się usunąć wątpliwości nie wolno rozstrzygać na niekorzyść oskarżonego”*. Kierownictwa ukaranych klubów, w stopniu największym Legii, usiłowały drogą prawną bronić swoich piłkarzy i mistrzostwa. Klamka jednak zapadła, nic nie wskórano. Nawet postanowienie krakowskiej prokuratury, która nie dopatrzyła się przewinienia, starano się wyciszyć, wszak nie było po myśli rozhisteryzowanych pseudoobrońców „czystej gry” w naszej lidze.

„Oceniając zebrany w sprawie materiał dowodowy w kontekście ewentualnego ustalenia, iż w związku z opisywanymi meczami funkcjonariusze publiczni, a więc działacze klubowi przyjmowali korzyści majątkowe lub udzielali obietnic ich przekazania – nie sposób dopatrzeć się popełnienia przestępstwa. Brak jest jakichkolwiek dowodów potwierdzających, aby taka sytuacja miała miejsce w rzeczywistości (...) Postanowiono zatem dochodzenie w niniejszej sprawie umorzyć wobec nie stwierdzenia przestępstwa” – tak brzmi końcowy fragment postanowienia Prokuratury Rejonowej w Krakowie z dnia 5 lipca 1995 roku.

Towarzystwo brnęło w nieświadomości. Za chwilę popełniono kolejny błąd – mistrzostwo Polski przy „zielonym stoliku” przyznano Lechowi Poznań. Ma reprezentować z powodzeniem nasze piłkarstwo w Klubowym Pucharze Mistrzów Europy. O ludzka naiwności!... Wieści z naszych boisk i piłkarskich salonów dotarły do UEFA. Szczegółów nie znano, przeto z biura sekretarza generalnego Piłkarskiej Unii Europejskiej Gerharda Aignera wysłano do PZPN pismo z żądaniem „podania dokładnej informacji w sprawie decyzji podjętych w związku z ligowymi rozgrywkami i zgłoszeniem polskich drużyn do rozgrywek międzyklubowych UEFA na sezon 1993/1994... Prosimy o wyjaśnienie sytuacji i udzielenie przed losowaniem odpowiedzi na ewentualne pytania podczas posiedzenia Komisji Organizacyjnej UEFA, która odbędzie się we wtorek 13 lipca 1993 roku w Hotelu Voga Hilton w Genewie”...

Do Genewy polecili wiceprezesa PZPN Eugeniusz Kolator i Michał Listkiewicz. Nic nie załatwili. Tymczasem sprawa nabierała rozgłosu. Do akcji wkroczyła FIFA. Najpierw Thomas Kurth z departamentu rozgrywek, opierając się na publikacjach prasowych informował PZPN, że „klub Legia Warszawa (o innych klubach w ogóle nie było w tym piśmie mowy – przypisek autora) dopuścił się nieprawidłowości podczas meczów kończących mistrzostwa Polski”, a potem ówczesny sekretarz generalny FIFA Joseph Blatter oznajmił Edmundowi Zientarze: ... *„FIFA zgadza się z decyzją podjętą przez władze związku i gratuluje sposobu, w jaki rozwiązano tak trudny problem w tak krótkim czasie”*.

Gratulacje przyjęto i naiwnie uznano, że to już koniec kłopotów. Sprawa trafiła jednak na obrady Komitetu Wykonawczego UEFA. Tam tak łatwo nie rozgrzeszają. Jeśli jest wina, to będzie też kara! Na wniosek Komisji Organizacyjnej, postanowiono wykluczyć Legię i ŁKS z międzynarodowych rozgrywek

pucharowych w sezonie 1993/1994. Dopiero teraz koło się zamknęło. Wprawdzie Legia jeszcze próbowała się bronić, ale w UEFA nie miała już żadnych szans. Przeniosła więc swoje żale na grunt krajowy. W piśmie do przewodniczącego UKFiT, powołując się na stosowne ustawy i paragrafy, działacze z Łazienkowskiej postulowali między innymi o: zawieszenie w czynnościach kierownictwa PZPN i wyznaczenie kuratora do czasu wyboru nowych władz. Strzelano na ślepo.

Wszystkie wnioski pozostały bez echa. Zmowa milczenia? Zdegustowany Janusz Romanowski publicznie wyraził wówczas swoje zdanie: – *„Nagonka na Legię – nie jest przypadkowa. Zdaniem wielu ludzi, jak „śmiała” zostać mistrzem Polski. Przed ostatnią kolejką wzywano do krucjaty przeciwko klubowi. Niektórzy ludzie chyba potracili zmysły”*... „Sprawę” Legii poruszono również na Walnym Zgromadzeniu delegatów Okręgu Warszawskiego. Podjęto uchwałę zobowiązującą zarząd WOZPN do podjęcia starać, aby w sezonie 1993/1994 PZPN uchylił karę minus trzech punktów (-3) nałożoną na Legię, ŁKS, Olimpię i Wisłę. „Causus Legia” na dalszy plan zepchnął inne wydarzenia piłkarskie w Warszawie. A przecież dokładnie 2 czerwca 1993 roku Polonia po 41 latach tułaczki po boiskach II i III ligi powróciła do ekstraklasy. Wkrótce na Konwiktorskiej utworzono Autonomiczny Zespół Piłki Nożnej. Główną postacią stał się tam teraz poseł na Sejm Rzeczypospolitej – Marek Wielgus. W okresie prezesury Mariana Dziurowicza był wiceprezesem PZPN. Zginął tragicznie podczas urlopu na Dominikanie.

Utarło się przekonanie, że zazwyczaj po siedmiu latach tłustych przychodzą te chudsze, mniej udane. W naszej lidze na własnej skórze odczuły to nawet Wisła Kraków, Ruch Chorzów i sam „wielki” Górnik Zabrze. Ale bywa i tak, że dobro częściej przeplata się ze złem. Lech Poznań, mistrz Polski 1993 z „awansu” Walnego Zgromadzenia PZPN, jest w tej huśtawce nastrojów przykładem

szczególным. Na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych był równorzędnym rywalem Wisły, Cracovii i Ruchu Chorzów, jednak u schyłku tej drugiej dekady tułał się po boiskach II ligi. A potem – w różnym przedziale czasowym – też raz był na wozie, raz pod wozem. Jednak zawsze miał, ma i zapewne mieć będzie – wiernych kibiców. Od zarania powojennej ligi przekonują całą piłkarską Polskę: – **„W górę serca, wygra Lech!”**

Bije radość z tego okrzyku, w roku 1993 była wyjątkowo duża, bo przyszła niespodziewanie, bardziej z „woli nieba” niż własnych możliwości i faktycznych dokonań. Właśnie wtedy KKS Lech czyli Kolejowy Klub Sportowy zaczął chylić się ku upadkowi. Chichot rzeczywistości! Z jednej strony ligowy triumf, a z drugiej... pusta kasa, więcej – duże długi. Poznaniacy to zaradni ludzie. W tej trudnej sytuacji niejako łagodząc dolegliwości ustrojowo-społecznej transformacji, wzorem innych klubów postanowili zmienić nazwę, przy tym nieco odciąć się od przeszłości i utworzyli Poznański Klub Piłkarski „Lech”. W dniu 16 czerwca 1994 roku nowe stowarzyszenie pod numerem 199 wpisano do rejestru Wydziału Kultury Fizycznej i Turystyki Urzędu Wojewódzkiego w Poznaniu. Prezesem PKP Lech został Ryszard Dolata, a jednym z trzech wiceprezesów Roman Jakóbczak, były piłkarz w 1974 roku uczestnik mistrzostw świata w RFN.

Zgodnie z obowiązującymi przepisami PKP Lech, chcąc samodzielnie zaistnieć na poznańskiej i ogólnopolskiej scenie piłkarskiej, musiałby rozpocząć rozgrywki od najniższej klasy w Okręgu. A przecież pomysłodawcy samobójcami nie byli! Wszystko dokładnie przemyśleli. Zamierzali upiec dwie pieczenie na jednym ogniu: pozbyć się długów i utrzymań I ligę w Poznaniu. Nic nie trzeba burzyć, tylko nieco zmienić sztyl i dokonać fuzji. Poszło jak po maśle, w drugiej dekadzie czerwca 1994 roku nastąpiło połączenie sekcji piłki nożnej KKS „Lech” z PKP Lech. Pełna symbioza. W umowie, traktującej o tym historycz-



nym wydarzeniu czytamy: ... „Na podstawie & 11 ust. 2 uchwały Zarządu PZPN a dnia 14.05.90 r. w sprawie organizacji rozgrywek w piłce nożnej przekazujący i przejmujący oświadczają, że z dniem 21.06.94 nastąpiło połączenie sekcji piłki nożnej KKS Lech Poznań z PKP Lech Poznań. Przyjmujący oświadcza, że odpowiada za zobowiązania powstałe od dnia połączenia... Przejmujący powiadomi właściwy związek sportowy (OZPN i PZPN)... o połączeniu sekcji piłki nożnej”. Udana transakcja.

Kolejny krok (decyzje OZPN i PZPN) nie był już tak udany. O ile Poznański OZPN bez żadnych zastrzeżeń w dniu 5 lipca „zarejestrował klub PKP Lech do udziału w rozgrywkach prowadzonych na szczeblu OZPN”, o tyle PZPN 18 lipca 1994 roku stanął okoniem: **„brak jest podstaw do przyjęcia, że nastąpiło połączenie Poznańskiego Klubu Piłkarskiego „Lech” Poznań z sekcją piłki nożnej Kolejowego Klubu Sportowego „Lech” Poznań”**. „Przedmiotowe połączenie może dotyczyć jedynie klubów występujących już wcześniej w rozgrywkach mistrzowskich... Stąd też w rozgrywkach sezonu 1994/95 może wystąpić jedynie zespół KKS „Lech” Poznań”.

Oświadczenie to podpisali sekretarz generalny PZPN Edmund Zientara i radca prawny dr Andrzej Wach. Przekazali je do wiadomości nie tylko prezesowi KKS „Lech” Janowi Grodzkiemu i prezesowi OZPN w Poznaniu Marianowi Kustoniowi, lecz także Ryszardowi Górcie. Riposta zarządu PKP „Lech” była błyskawiczna: ... **„nie może się zgodzić z takim stanem rzeczy”**. Oświadczone, że – wbrew powszechnie przyjętym zasadom – w PZPN zaistniałe wątpliwości rozstrzygnięto na niekorzyść wnioskodawcy. To zła decyzja. Nie ma więc podstaw do kwestionowania praw PKP „Lech” jako klubu. Zarząd PKP „Lech” wyraził również zdziwienie, że „jednym z adresatów pisma PZPN jest p. Ryszard Górka, który zrezygnował z funkcji członka zarządu KKS „Lech”... R. Górka nie jest w żaden sposób stroną w tej sprawie”.

Działacze PKP „Lech” wyrazili też opinię, że w omawianej sprawie nie powinna mieć znaczenia kwestia przejęcia długów KKS „Lech”. Stosunki obligacyjne stanowiące ich źródło są wyłącznie sprawą KKS i ich wierzycieli... Mając na względzie to, że już wcześniej PZPN wyraził zgodę na grę w I lidze w podobnych okolicznościach innym klubom, wniosek Zarządu PKP „Lech” jest uzasadniony i zasługuje na uwzględnienie. Jednoznacznie poparł tę opinię Poznański Okręgowy Związek Piłki Nożnej. – „Prosimy o podjęcie decyzji umożliwiającej wszystkim drużynom piłki nożnej KKS „Lech” Poznań branie udziału w sezonie 1994/95 w PKP „Lech” Poznań.

Tak szerokie potraktowanie „casus KKS Lech – PKP Lech Poznań” wynika z kilku powodów. Przede wszystkim nie był to przypadek odosobniony, wówczas raczej typowy. Na początku transformacji ustrojowej w podobnej sytuacji znalazły się i też przeżywały trudne chwile również znane kluby w Warszawie, Gdańsku, Dębicy, w Łodzi, na Śląsku i w tymże Poznaniu. Wtedy nie były jeszcze w modzie sejmowe komisje śledcze, ani komisje etyki w PZPN, przeto trudno jednoznacznie wskazać motywy i formy działania, jakimi się kierowano. Jednym się udało uchronić przed degradacją, innym – nie, niektóre – choć nie zawsze zgodnie z przepisami – mocniej stanęły na nogach, ale część z nich do dziś ma kłopoty finansowe i szkoleniowe. Tu i ówdzie dziury łatają nowobogacy, dają sporo pieniędzy, ale niewiele sportowej wiedzy. Błądzą. Są jednak sprytnie wspierani przez makiawelizm prawników. Przedziwna to profesja. To głównie oni ułatwiają produkowanie piłkarskich fikcji i uczą wygrywać przegrane sprawy.

Sprawa Lecha wydała mi się jednak – choć sportowo mocno pokrętna – społecznie uzasadniona. Poznaniacy logicznie i niewątpliwie zgodnie z prawdą argumentowali swoje decyzje: